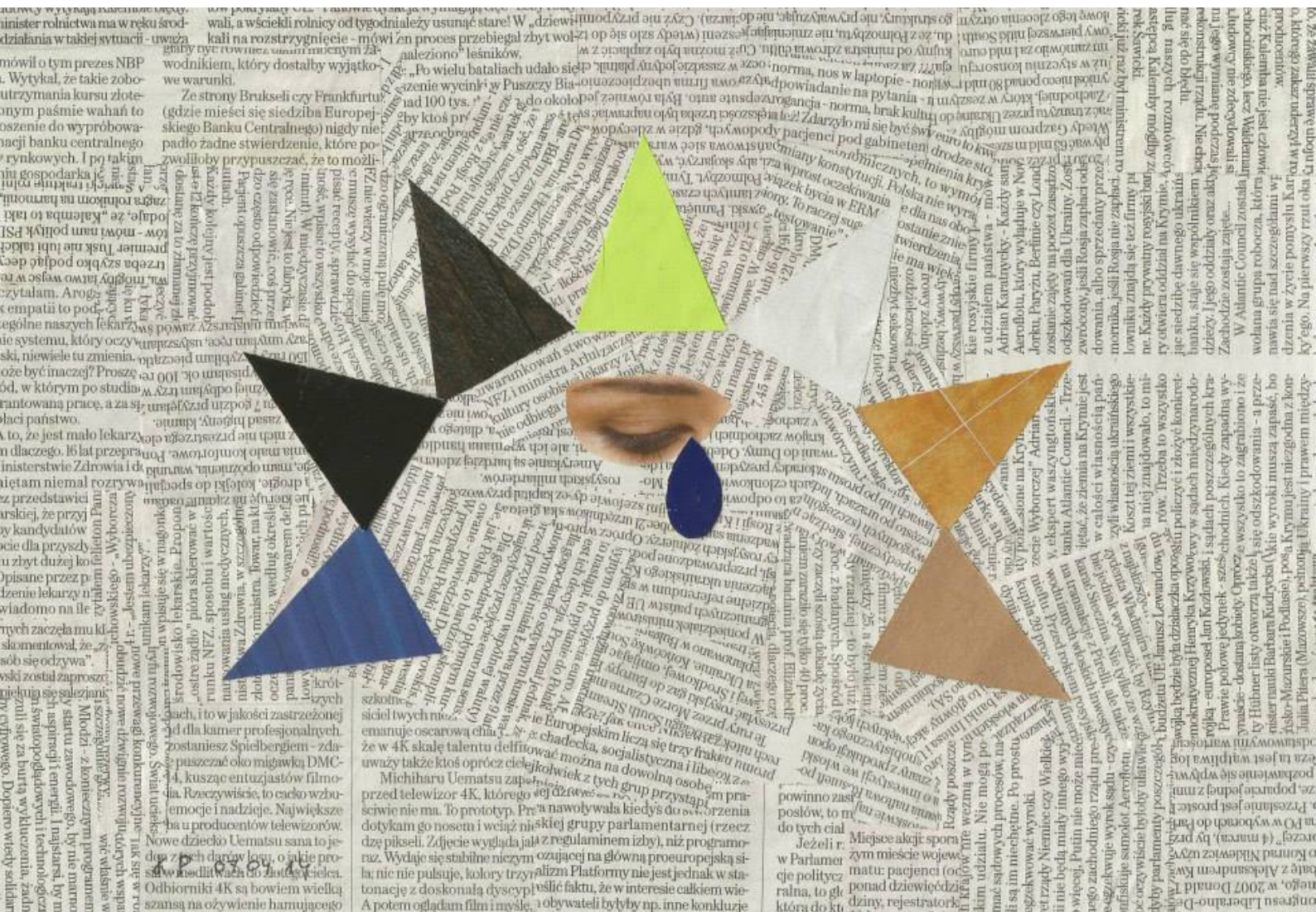




Natalia Mietielewa "Wianek gór"

Fahrenheit Crew

Mówiono: smoczy kwiat rośnie w górach niczym druzzy szlachetnych kamieni. Temu, kto go odszuka i zerwie, spełnią się wszystkie życzenia. Kto pragnął władzy, wiedzy lub bogactwa, ruszał na poszukiwania w góry odwieczne – Góry Wiecza. I zazwyczaj do domu nie wracał.

Mówiono: ci, którzy go zerwali, teraz są daleko za górami i mają wszystko, czego kiedyś pragnęli. Ludzie z rodu Wiecza słuchali, uśmiechali się i twierdzili, że wielu rusza szukać szczęścia w wielkim świecie i niektórzy je znajdują bez żadnego cudu.

Mówiono: tylko mężczyzna może zerwać smoczy kwiat. Kobieta nie pokona górskiego szlaku, tak jak rzeka nie popłynie pod górę, a ziemia nie stanie się wiatrem. Kobiety z doliny tylko się uśmiechały. Niech mówią, niech się cieszą. Po co kobiecie malutki kwiat, skoro ma dla siebie cały Krąg Wiecza – wieniec na czole boga? Żadna z nich nie zamieni całej ziemi za ziarnko piasku, całego światła – za małą iskrę, wieczności za jedną chwilę. Smoczy kwiat daje tylko jednemu, a Krąg – wszystkim. Wiedzę i bogactwo, prawość i siłę. Smoczy kwiat jest drogą dla jednego, a Krąg dla wszystkich. Dla całego rodzaju ludzkiego.

Bóg Wiecz, władca czasu i twórca losów, włożył swój wieniec o świcie. Dolinę jeszcze zaścielała kołdra mgły, gdy kobiety z rodu Wiecza przyszły i niczym chmura okrążyły chatę zielarki Poreki. Na podwórze nie weszły. Stały za ogrodzeniem i milczały. Patrzyły z taką nienawiścią, że podwórkowy pies szarpał się na łańcuchu i wył ze strachu.

Wycie obudziło osadę.

Ci z handlarzy, którzy po raz pierwszy przyszli do doliny po najcieńszą wełnę, z początku byli zdumieni: kto to widział, żeby baby, zgromadziwszy się w jednym miejscu, milczały? Obyci kupcy pośpiesznie porzucali osadę i ponaglali kolegów. Krąg, bez szczególnych powodów, obcych nie tykał, przestrzegając prawa gościnności. Ale kto wie, co może zobaczyć w twojej duszy, za co nagle gardło ściśnie pętlą, kręgosłup nagnie? Za dawne oszustwo, za kradzież zapomnianą, za krew nieumyślną...? A na kim grzech nie ciąży, choćby maleńki? Chyba tylko na tym, który się jeszcze nie urodził.

Z okien sąsiedniego domu wszystkie oczy były zwrócone na podwórze Poreki. Chłopcy nigdy jeszcze nie widzieli Wielkiego Kręgu. Zbiera się on niezwykle rzadko i tylko w sprawach szczególnej wagi – wojowniczych cudzoziemców zawrócić albo gniew Boga Wiecza lub ziemi i niebios uciszyć. A tu, do domu zielarki, zleciały się kobiety z całej osady, matki i żony, siostry i narzeczone. Wszystkie, które noszą rodowy pas Wiecza.

– Ale wyje, biedna psina! – Wzdrygnął się starszy syn Netora. – Czego mogą chcieć od biednej Poreki? Przecież ją jednym paznokciem przycisnąć można, a całym Kręgiem to ją rozgniotą. Szkoda, piękna baba.

Netor przeprowadził paznokciem po ostrzu noża i chrząknął: „Nie zaszkodzi poprawić”, i

niezwłocznie zabrał się do dzieła. Czereń czekał, przestępował z nogi na nogę, sapał niezadowolony, ale nie śmiał popędzać ojca. I Netor się udobruchał.

- Przyszły przywitać gościa. Do sąsiadki wrócił przybrany syn, Wiel. Ten, co osiem lat temu zaginął.
- Coś podobnego! Przecież on w górach stracił życie!
- Nie stracił, jak się okazuje. Pomyliłem się wtedy.

Czy na pewno się pomylił? Musiał rozpoznać klamrę, którą podarował sierocie, kiedy przyjęto go do rodu.

Wykonał ją dla swego pierworodnego, Doglada. Ozdabiał kryształkami górskimi – dla bystrości oka, czystości serca i jasności umysłu. Nie zdążył wręczyć talizmanu; zabrakło pierworodnego, Krąg Wiecza go zmielił. Czereń teraz uchodzi za starszego, na słabego Doglada pokrzykuje.

Ojciec spojrział w kąt, gdzie jego kaleki pierworodny kręcił się przy misce z wodą, puszczał bańki przez słomkę. Cały mokry, splątana bródka zwisa sopolkami. Syn podniósł bezmyślne oczy, pomruczał coś po swojemu, jak zwykle niezrozumiale, rozmazał ślinę po brodzie. Przykro patrzeć.

Netor oddał talizman Wielowi, ale chłopiec prawdopodobnie go zgubił albo ktoś mu go odebrał, być może sam komuś podarował. Tylko że kości nie zmienisz, a przecież Wiel był kulawy. Ciało, jakie znaleźli myśliwi w górskiej rozpadlinie, miało prawą nogę krótszą. Czaszkę pokrywały czarne włosy i na żebrach leżał prezent Netora, jak nowy. Zwłoki przywieziono do Poreki – rozpoznała przybranego syna. Klamrę od tamtej pory nosiła na sercu. Nie przelewała łez, arogantka, bo kryształowe płoną na piersi, pamiętają. Kogo w takim razie pogrzebali wówczas, jeśli nie Wiel?

Nie, to nie Wiel wrócił po ośmiu latach, chociaż przedstawił identyczną klamrę. Poreka przyszła o świcie – zmieniona nie do poznania. Wołaj ludzi, że niby to nieboszczyk ożył! Poszli z siekierami i kołkami. Spotkał ich zwyczajny chłopak. Zmęczony, aż się chwiał na nogach. Uśmiechał się radośnie: „Ludzie, przecież to ja, Wiel! Wróciłem! Żywy!”. Sam wyciągnął rękę do nacięcia; krew bryzgnęła czerwona, ciepła, ludzka. Przesłuchali. Powiedział o wielu sprawach, które tylko zaginionemu sierocie były znane. Położyli klamry obok siebie – nie do odróżnienia. Jak to możliwe? I odzież ma po ojcu, jakby swojej nie miał. Widocznie Poreka z pudła wyjęła. A przede wszystkim – nogi zdrowe, równe, daj Boże każdemu takie. Jakby nigdy nie był kaleki.

- Tatko – nie wytrzymał Czereń, przerywając myśli – co im do tego? Przecież wrócił, tylko się cieszyć!

Wycie z ulicy stało się nieznosne; do psa zielarki przyłączyły się wszystkie okoliczne. Netor ze złością wbił nóż w ławkę.

- Cieszyć się, powiadasz? A to, że Lipka zaginęła i nawet Krąg nie może śladu odnaleźć? Baby wyczuwają, że on wie, gdzie jest dziewczynka.

Syn opadł na ławkę, wyrwał nóż i skrzywił się.

- Jeśli wie, to powie. Tylko coś tu się nie zgadza. Przyszedł w nocy? Taaak. A Lipka zaginęła w przeddzień rano. W tym czasie nasz pierwszy lepszy patrol zauważyłby obcego. Nie było go w pobliżu, tatko.

- Zauważyłby albo i nie! – prychnął Netor. – A kto go widział, póki znachorka do naszych drzwi nie

zastukała? Ani jedna baba nie zauważyła. Ani jeden pies nie podniósł alarmu! Zresztą, sam Wiel mówi, że nie spotkał nikogo z naszych. Jego oczy także mi się nie spodobały, śmiał się z nas.

- A my z koleżkami jeszcze raz go przepytamy! - Czereń zręcznie obrócił w palcach nożyk.

Netor skinął głową, ale uśmiechnął się pod nosem: gdzie Krąg wkroczy, nie będzie kogo przesłuchiwać. I nie ma takiej potrzeby. Baby mają sposoby, że nawet nierozumne zwierzę przemówi. Ale umarlak to nie zwierzę. Czy przemówi? Dlatego niech starszy czeka na swoją godzinę.

Pies zdechł jeszcze przed południem. Leżał pośrodku podwórza kosmatą grudką, utkwivszy szklisty wzrok w zamknięte na zasuwę drzwi. Martwa paszcza szczyrzyła się gorzkim wyrzutem: gospodyni nie wyszła, nie obroniła, nie uratowała.

Osada była jak wymarła. Niektórzy nie wrócili jeszcze z poszukiwań Lipki, inni postanowili ratować dzieci i zwierzęta, odprowadzając je w bezpieczne miejsce. Netor swoje małe córki, nie noszące jeszcze pasa Wiecza, wysłał dalej od nieszczęścia. Ssensu w tym mało, ale i tego maleństwa komuś wystarczy, by wyżyć, zwłaszcza od dziewczynek Krąg będzie ciągnąć moc, jeśli swojej i zwierzęcej zabraknie.

Łańcuchowe psy Netora już osłabły - nie wyją, tylko jęczą. Do chlewa nawet nie zaglądał, tak tam było cicho. Bał się spojrzeć w oczy niewinnych, umęczonych zwierząt.

Baby zupełnie oszalały. Zostawiły wszystko, dzieci i gospodarstwa. Wygasły ogniska. O wszystkim zapomniały. Nikogo nie oszczędzają, już nawet z własnego ogniska domowego zaczynają moc zabierać. A jeśli potem nie będzie komu jej oddawać?

Takiej mocy magicznej w swoim życiu nie widział. Orinka, jego żona, mówiła: nie wolno się wtrącać, jeśli kiedykolwiek to się zdarzy. A czy wypada mu - ratajowi i mężowi - stać na uboczu? I czy nie czas, by się mężczyźni wmieszali? Spojrzał na starszego i podniósł się z ławy:

- Już czas.

Kaleki Dogład przestał się bawić i ruszył za nimi. Jak dziecko - na czworakach.

Nie udało się wmieszać. Kobiety nie puściły. Stały, trzymając się za ręce. Nie rozczepisz, choćbyś siekierą rąbał, a z nią też nie da się podejść - niewidzialna ściana o krok przed Kręgiem, ręce i nogi drętwieją. Co to się dzieje, Boże Wieczu? Czy to są nasze delikatne i czułe żony?

Netor poszukał oczyma Orinkę. Zdrętwiał. Stoi blada, jakby życie z niej uleciało, oczy zatoczyła, na wargach piana, a rzucić się do niej, wyrwać, do piersi przycisnąć bliską, ukochaną, matkę jego dzieci - nie można. Jest o krok, a nie dosięgniesz.

Obok stary Bograd oparł się na kosturze, posępny, ale nie śmie się wmieszać. W rękaw staruszka konwulsyjnie wczepił się Lipień, brat bliźniak zaginionej. Dzieci nierozłączki, podobne jak dwie krople wody, nazywane pieszczotliwie Lipkami, i oboje są dziećmi Kręgu.

Wszystko zaczęło się wczoraj. Rano bliźnięta zaginęły, ale chłopiec pod wieczór przybiegł do osady.

Wszystkich postawił na nogi, tak był wystraszony tym, co siostra wymyśliła. Ni mniej, ni więcej – smoczy kwiat chciała odszukać! Nigdy, od zarania dziejów, czegoś takiego nie było. Nie kwitnie on dla kobiet.

Czego się jeszcze baby dowiedziały od chłopca – nie powiedziały nikomu. Ale zebrały Duży Krąg do poszukiwania uciekinierki, jakby osadzie groziła napaść albo gniew ziemi i niebios wisiał nad domostwami. Netor wiedział, że poza doliną panuje spokój, sąsiedzi siedzą cicho i nie odważą się wyleźć, pomni przeszłości. Za góry nikt nie mógł ręczy

. Ale wówczas wszyscy ukryliby się w schronach, a dolinę pozostawili żywiołom. Wobec tego, dlaczego natychmiast po przyjściu obcego, podającego się za Wielą, Krąg zgromadził niebywałą siłę? Wszyscy tu są. Nawet dziewczynki, które zaledwie wczoraj założyły pas Wiecza. To już nie tylko Duży, ale Wielki Krąg. I to wszystko z powodu gołowąsa i dziewczyny. Co się dzieje, boże Wieczu?!

Netor zachwiał się z bólu. Serce ścisnęło się tak, jakby się na nim usadowił olbrzym i naciskał z całej siły. Ciało – jakby je ktoś wywracał na lewą stronę, żeby znaleźć i wytrząsnąć z niego duszę, choćby nie wiem jak się chowała ze strachu. Znaleźć i zapytać: czy to ty stworzyłaś zło? Tak? Więc umrzyj!

Jakże Poreka z Wielem wytrzymują *takie coś*? Skąd biorą siły? Albo Wiel nie jest winny zaginięcia Lipki, albo jest Nieżyjący, nad którym żywi nie mają władzy. Nie mają władzy nad ciałem. A nad duszą? Gdzie jest dusza Nieżyjącego?

– Wiel, ja już nie mogę!

– Wszystko zaraz minie, matulu – z trudnością wypowiedział ostatnie słowo, jakby z gardła wypchnął kamień.

Poreka leżała na podłodze – włosy zmierzwione, odzież podarta. Przed chwilą miotała się w paroksyzmach, próbowała popełnić samobójstwo. Wiel nie pozwolił, przytrzymał. Silny on teraz, jej przybrany syn. O głowę wyższy od Poreki. Potężny. Straszny.

W nocy ktoś cicho zastukał, jakby mysz poskrobała, ale nie w drzwi, tylko w serce; z bólu Poreka się obudziła. Dopiero po chwili dotarło do niej, że to nie serce stuka trzykrotnym pukaniem, jak to czynił kiedyś synek. Zapaliła łuczywo od tłącego się ogniska. Kółko mętnego światła plusnęło na izbę, pomalowało ściany cynobrem. Zielarkę często niepokojono po nocach: choroby nie znają snu. Dlatego, otworzyła bez namysłu.

Stał dwa kroki od ganku. Podwórkowy pies, zamiast szczekać na obcego, popiskiwał jak szczeniak, łąsił się do bosych nóg, omal ze skóry nie wylazł, by ją rozścielić pod nogi przybyszowi.

Poreka podniosła wyżej łuczywo i omal nie wypuściła go z rąk. Obcy był zupełnie goły. Z odzieży – kilka zwojów cienkiego sznura, owiniętego wokół bioder. Smągła skóra lśniła jak natłuszczona gliniana patelnia. Cały podrapany. Wzrok Poreki co raz zatrzymywał się na jasnych paskach blizn, rozrzuconych po całym potężnym ciele.

– Źle wyglądam? – prawie niedosłyszalnie zapytał gość i zwinny uśmiech prześliznęła się jaszczurką po gładkiej jak rzeczny otoczek twarzy. Tak samo nieuchwytnie uśmiechali się kiedyś Wiel i jego ojciec,

brat Poreki.

- Zawsze budzisz ludzi po nocy, by zapytać, jak wyglądasz? Czy przyszedłeś w konkretnej sprawie? Tak ci było pilno, że nie zdążyłeś się ubrać? - Jaszczurka znów się pojawiła i zatrzymała na chwilę, jakby się grzała na gorącym kamieniu. - Nie jestem obcy, matulu Poreka. Jestem Wiel. - Oczy jego były szczęśliwe, świeciły jak dwa słońca po deszczu. Czy Nieżywy albo górski duch mogą mieć takie oczy, pełne ciepłego, radosnego światła? Nie zgasły nawet, kiedy sąsiadów zawołała, i kiedy dał sobie rękę pokroi. Zmatowiały dopiero wtedy, gdy Krąg Wiecza okrążył dom.

Krąg naciskał, jakby wszystkie góry i cała ziemia zwały się na pierś, nie pozwalając oddychać. Braknie już sił. Ruszysz się - złamiesz ciszę. I Poreka się nie ruszała. Leżała jak zapomniana rzecz. Nogi przeświecały przez dziury w spódnicy. Wstyd - przybrany syn patrzy. Co tam wstyd? Byleby tylko rozumu nie stracić.

Wiel zdjął z ławki kozią skórę i przykrył zielarkę. Poglaskał po głowie jak dziecko. Ostrożnie wytarł łzy - ona ich już nie czuła.

- Wypuść mnie, Wielu. Dam im to, o co proszą. Otworzę pamięć. Duszę otworzę. Niech zobaczą, że jest czysta wobec nich. Wypuść.

- Nie. Wejdą same, jeśli potrafią. A potem zobaczymy.

- To, czego potrzebują, wezmą i tak. Czyż nie słyszysz ich Głosu?

Wiel chrząknął.

- Mówisz o tym pisku komarów? Długo będą musiały piszczeć: nasza krew nie jest dla nich. A podlecą bliżej? Przyklnę.

Wydawało się, że jest mu nawet wesoło. Kobieta otworzyła oczy i natychmiast, jak oparzona, odwróciła wzrok: jego oczy płonęły zaciekłym ogniem. Czy w oczach Nieżywego może być taki blask?

- W takim razie albo jesteś światłym, albo...

Uśmiechał się.

- Albo kim?

Nie odpowiedziała. Spróbowała się podnieść, ale ręce miała, jak połamane. Rzucił się na pomoc, ale go odsunęła. Wstała sama. Jest dobrą zielarką. Jej zioła chronią *przed tym co na zewnątrz i przed tym co wewnątrz*.

Ironicznie przymrużył oczy, obserwując, jak ta, którą od dzieciństwa przyzwyczaił się głośno nazywać matką, a w myślach Poreką Wspaniałą, rozciera cienkimi palcami szczypty suszonych ziół i rzuca na węgle ogniska. Śmieszna. Przed Kręgiem Wiecza sianem się nie wykręcisz. Niech wierzy, gorzej być nie może.

Prawie nie zmieniła się przez osiem długich lat. Nie zbabiała jak jej rówieśnice, stojące teraz jak wkopane za ogrodzeniem. Tylko szczupła, delikatna twarz stała się surowsza, wytworniejsza, oczy - bardziej przenikliwe i smutne. Z każdego ruchu wiała kobieca moc - tajemnicza i władcza. Wspaniała Poreka. Przybrana matka.

Młodzieniec spuścił wzrok.

- Co to za dziewczynka, że wszyscy rozum potracili? Mało to dzieci gubi się... Jednej mniej, jednej więcej...

- Wiel! - skarciła go z wyrzutem zielarka.

Kiedys ten głos, wówczas jeszcze czuły i dźwięczny jak trel słowika, śpiewał mu kołysanki.

- Naprawdę nie widziałem nikogo z rodu Wiecza! Ani dziewczynek, ani chłopców.

- Na co przysięgniesz, że nie kłamiesz?

- A muszę? Twoje serce wie, czy mi wierzyć, czy nie. Nie mam zamiaru narzucać ci wyboru... matulu.

Zamilkła. Te za ścianami - prosiły ją. One też nie są z żelaza. Ile by ich tam było, są jednak żywe i słabe. Krąg już nie rozkazywał - prosił. „On jest winny, Poreko. Pomóż nam. Udostępnij swój rozum, zachowamy go, zwrócimy. Przysięgamy na honor rodu!” - „Idźcie precz, sępy!” - „Biedna, ślepa Poreka! To nie Wiel przyszedł do ciebie, ale Nieżywy. Nasza Lipka nie żyje!” - „Nie! Nie wierzę!” - „On powinien zginąć. Pomóż nam! Albo odejdz, nie przeszkadzaj!”

Tego nie mogła uczynić. Rzuciła szczyptę ziela na węgle, szepnęła:

- Serce często pragnie się mylić, Wielu.

- Dlatego nigdy go nie pytasz. O nic i o nikogo. Czy zapytałaś mnie, czy chcę być dla ciebie synem? Czy mogę?

- Ratowałam nas, maluchu. Zapomniałaś.

Roześmiał się. Silny, z ramionami szerokimi jak rozłożone skrzydła, dorosły „maluch”. Nikt nie uwierzy, że ten mężczyzna o opalonej skórze pociętej strasznymi bliznami jest szesnastolatkiem. Gdyby nie blizny, byłby piękny. Jak bóg. Nieustraszony i bezlitosny. Bogowie nie mają serca, przecież są nieżywi. Nieżywi? I on nie okazał litości.

- Nas?! Ratowałaś siebie. I nie dałaś rady.

Nie zapomniał niczego. Miał trzy lata, nie powinien pamiętać, ale pamiętał. Wieczorem przyszły do domu cztery kobiety, okrążyły mamę. Wiel uśmiechał się; podobały mu się korowody. A mama zbladła, krzyczała: „Nie dam! Zabierzcie mnie! Nie dam go! Biegnij, Wielu! Biegnij do taty, synku!” I zaczęła wyć dziko jak zwierzę.

Przestraszony chłopczyk śmignął w noc, która wyszczerzyła się krwawym księżycem. Dokąd bieć, kiedy dokoła ciemność i psy spuszczone? Ojciec już drugi dzień daleko, na polowaniu. I wróci dopiero jutro?

Schował się w owczarni. Mama szybko go tam znalazła - straszna, rozczochrana, z nabiegłymi krwią oczyma świecącymi jak próchno. Chichocząc i śliniąc się, uganiała się z widłami za synem, tratowała oszalałe jagnięta - tylko chrzęst i chrypienie było słychać. Wiel, dławiąc się z przerażenia, wrzeszczał: „Mamo! Mamusi!” Próbował schować się pod owczy brzuch, czołgał się na czworakach

między migającymi przed oczyma kopytami, nie czując już, jak te kopyta tratują go, zdzierają skórę, łamią żebra, palce. A mamusia – nie, to nie mama! To wściekły potwór z maską mamy! Z ogromną siłą odrzuciła widłami jak pęczek słomy zasłaniającą Wielą owieczkę i wbiła zakrwawione zęby w ciało syna. Gdyby nie rzucił się w bok z całych swoich słabiutkich, szczenięcych sił, nie trafiłaby go w nogę, a w brzuch.

Śmierć pochwyciła Wielą. Siostrzenica taty, Poreka – jeszcze dziecko – przybiegła, słysząc śmiertelne krzyki. Ona też by nie żyła – wilkołak z maminią twarzą strząsnął chłopca z wideł, rzucił się na dziesięcioletnią dziewczynkę, depcząc ją jak trawkę...

Uratował ich ojciec. Wrócił wcześniej z polowania, przeczuwając nieszczęście.

O tym dowiedział się później, kiedy się ocknął. Dowiedział się także, że nie ma już ojca ani matki. Została tylko mała ciotka Poreka, sama ledwie żywa. Ojciec poszedł w Góry Wiecza, niosąc na rękach żonę, pozbawioną rozumu przez babski Krąg. Niósł swoją ukochaną, zabita przez siebie.

Mówiono: ojciec wrócił wcześniej, bo współnika okaleczonego przez zwierzę w lesie porzucił. Nie uratował, nie przywłókł na plecach do domu. Zostawił na śmierć okrutną, zwierzętom na pożarcie. Starego ojca ofiary bez syna-żywiciela zostawił. Myślał – nikt prawdy nie dojdzie. Nikt nie osądzi. Był tu obcy, żył w osadzie od miesiąca i w moc Kręgu nie wierzył. Nie wiedział, że ten krew rodzoną wszędzie zwęszy, zobaczy, gdzie zgasła iskra z rodowego ogniska. Zanim ojciec Wielą do domu wrócił, baby wzięły odwet, krwi za krew zażądały. Tak mówili.

Mówiono: dogonili mordercę żony. Już w górach strzałą go dosięgli, zrzucili do rzeki na dnie wąwozu, razem z jego strasznym brzemieniem. Ale czyż Wiel mógł uwierzyć w to, o czym mówiono?

Odważna była jego ciotka. Kiedy przyszli sąsiedzi, by dzieci do swego domu zabrać, a może wraz z nimi ich dom przywłaszczyć – nikogo nie wpuściła. Stała na ganku – mała, wiotka, wściekła – wczepiła się dłońmi w grzywę podwórkowego psa, by czuć się śmieiej, bólu w poranionym ciele nie pokazać, i krzyknęła:

– Nie potrzebujemy z Wiel nikogo! Do nikogo nie pójdziemy! Przeżyjemy sami!

Od tamtej pory, każdego ranka, znajdowali pod drzwiami gorące potrawy albo odzież haftowaną. Cudzym jadłem karmiła psa łańcuchowego, a odzież przed wieczorem odnosiła babom: „Nie potrzebujemy niczego!”

Wyżyli. Głodno, ubogo, dumnie. Ratowały ich ocalałe owce. I dziewczynka miała dar, bogatszy niż chude stado owiec. Umiała moc ziół przekazywać ludziom, a kto ją tego nauczył – nikt nie wiedział, nawet Krąg. Nie opowiadała, skąd przybyła z rodziną brata. „Z daleka.” I to wszystko.

– Skąd wiesz, jak zastawiać pułapkę?! – oburzał się Wiel, kiedy Poreka kolejny raz zmuszała go do poprawienia błędów. – To nie na babski rozum!

– Wiem. Ponieważ nie chodzę do babskiego Kręgu i kieruję się swoim pomysłem – odparowała sarkastycznie ciotka.

– Przecież ja też nie chodzę... nie jestem baba! – kontynuował kłótnię chłopak. – A to znaczy, że też wiem!

Roześmiali się, objęli i zapatrzyli w błękit nieba kwitnącego białymi nenufarami obłoków, które topniały w jej słonecznozłocistych jak u tygrysicy oczach. Kosmyk czarnych włosów spływał po białym, delikatnie pomalowanym opalenizną policzku, układał się przytulnym łokiem w zagłębieniu obojczyka. Białe, czarne i trochę złocistego – niewiele kolorów zużył stwórca Wiecz na los Poreki.

– Jeśli chcesz, splecę ci wianek z kwiatów zebranych na obłokach – zaproponował Wiel. – Będzie ci do twarzy...

– No pewnie, a najlepiej spleć ze smoczych!

– I splecę! Nikt z rodu Wiecza nie będzie mieć takiego!

– Wieczy-owczy, nieczłowieczy! – skrzywiła się pogardliwie i zamilkła, czule głaszcząc łąkowe trawki, jakby kędziory pieściła. – Obroża na gardle Boga Wiecza. Czy widzisz, jak na tej ziemi żyją mężczyźni? To niewolnicy, z wiecznym strachem we krwi! Nie kradną, nie kłamią, nie zabijają się tylko ze strachu, a nie dlatego, że kochają prawdę, bogów i ludzi. Tu nie ma miłości, Wielu! Obiecuj, że nigdy nie wezmiesz żony z tego rodu. My stanowimy swój ród.

Ta gorzka, sucha prawda wbiła się w jego pierś jak strzała bez końcówki, boleśnie, ale nie śmiertelnie. Strzała, której nie mogły wyciągnąć nawet Góry Wiecza. Utknęła na zawsze. Stała się ością nie do wydostania bez zniszczenia jego samego.

Nawet narzeczonych, kiedy osiągnęła piętnaście lat, pogoniła na zbity łeb.

– Nie potrzebuję nikogo!

Starszy syn Netora, Dogład, zagroził, że siłą sprowadzi ją do swego domu, jeśli dobrowolnie nie pójdzie. Tylko brwi uniosła:

– Zadasz gwałt, Krąg cię na kawałeczki rozerwie.

– Zobaczymy! – uśmiechnął się zalotnik. – Krąg nie wstawia się za obcymi. A ty zawsze przeciw naszym babom byłaś, prawa Kręgu nie szanowałaś.

Nie wytrzymała. Ryknęła niczym ranna niedźwiedzica.

– A kimżeś ty jesteś, chłopino zapchlony, by Krąg obszczekiwać jadowitym językiem? Prawo Kręgu! Dużo wasze baby o nim wiedzą! A ich głupie pomysły to dla mnie żadne prawo. Tylko mnie dotknij, to nawet wasza babska milczanka okaże się wiankiem z trawy!

Dogład nie należał do bojaźliwych; nie po raz pierwszy polował na niedźwiedzice. Dwoma palcami łamał wilcze grzbiety. Jej hardość także złamie.

– Dzisiaj w nocy, Poreko!

Odszedł, pogwizdując. Postawny, arogancki.

Wiel ledwie zdążył odskoczyć od drzwi – rozgniewana dziewczyna wpadła do sionki, sycząc jak masło na patelni.

– Pokażę im, co to prawdziwy Krąg! Ja sama dla siebie Kręgiem!

Przez chwilę rzucała się tu i tam, biegała, i w końcu załamała. Rozszlochała się sucho, złośliwie. Przestraszony Wiel delikatnie dotknął jej drżących ramion.

- Chcesz, zerwę dla ciebie górski kwiat? Dam radę. Nikt już ciebie nie będzie obrażać.

Poderwała się, jeszcze bardziej rozzłoszczona niż na Doglada.

- Nawet nie myśl! Gdzie ci w góry łączyć, kaleko ubogi?

Nigdy nie wypominała mu ułomności - okaleczonej widłami, źle rosnącej nogi. A tu nagle jakby w twarz uderzyła, boleśnie, przykro, chociaż to prawda. Ale Wiel wybaczył samotnej, nieszczęśliwej dziewczynie.

- Pójdziemy razem, ciociu.

- Jakaż ja dla ciebie ciocia! - prychnęła. - Jestem znajdą! Twój dziadek znalazł mnie w lesie. Wychowywał jak córkę ze swoimi dziećmi. A potem go zabito. I wszystkich. Tylko twoi rodzice ocaleli i ja...

- Dlaczego ich zabili? Kto?

- Dlatego! Wojna była.

- Gdzie? - Wiel wstrzymał oddech. Poreka nigdy nie mówiła o przeszłości. Dolina Wiecza nie znała wojen. Ani rabunków, ani złodziejstwa, ani kłamstw, ani oszustwa. Bóg Wiecz ochraniał świat, stał niezłomnym Kręgiem.

- Daleko - ucieła.

- Wszystko jedno, dowiem się. Znajdę smoczy kwiat i dowiem się! I mamę z tatą znajdę!

W zamyśleniu spojrzała na uparciucha:

- Mamę z tatą... Może nie dzisiaj, zgoda?

Na małej *wieczorynce* nikt nie zdążył nawet pomyśleć, by wypędzić nieproszoną obcą z bratankiem, gdy Poreka dotknęła kamienia ogniska rodowego, prosząc o protekcję Boga Wiecza i natychmiast, przy wszystkich, dokonała obrzędu adoptowania. Obnażyła jędrną, dziewczęcą pierś - Doglad aż jęknął, chociaż nie tylko jemu dech zaparło - jednym tchem wypowiadając rytualne słowa, skropiła owczym mlekiem różowy sutek i przeprowadziła po wargach bratanka. Drgnęła, kiedy oszołomiony niespodzianką, przygryzł czułe, wilgotne ciało. Zatrzymał na chwilę w ustach, dotknął językiem chłodnawego pagóreczka, wydzielającego taką nieznana, słodką rozkosz, od której krew w ciele chłopaka wybuchła ogniem i grzmotem.

Na zawsze zapamiętał to dotknięcie, które pozostało w nim rozgłośnym echem.

Bezsilny gniew mężczyzn też zapamiętał: teraz nikt nie mógł wziąć Poreki za żonę. Niezameżna kobieta, która posiadała dzieci, uważana była za żonę samego Wiecza, a dzieci jej były jego dziećmi. Krąg musiał wziąć Porekę pod ochronę: odludna obca weszła jednak do rodu. Przemądra Poreka. Przybrana matka.

- Wejść!

Weszła i utknęła na progu jak kość w gardle.

Dogład, purpurowy z wściekłości, pochylił się do matki i szepnął słowo. Orinka zasępiła się, dotknęła ramienia sąsiadki i zaszeleściło, popęzło żmijką wśród zebranych to słowo. Każdego dotknęło językiem rozdwojonym i do żony Netora wróciło. Podniosła się, wyciągnęła ręce w stronę ogniska, by potwierdziło jej prawdę:

- Od kiedy to matki mają pozwolenie, by warkocz paniński nosić? Czy chcemy rozgniewać boga, by naszych mężów sił pozbawił? Nie może dziewczucha być matką! Dziewucha-matka nie może być żoną Boga Wiecza!

Zatrzeszczał ogień w kamiennym kręgu ogniska, buchnął gniewnymi iskrami - potwierdził. Tylko Poreka zauważyła, że ręce Orinki, wyciągnięte nad płomieniem, nie były puste. Chyba jeszcze stara żona Bograda coś podejrzewała.

- Za mojej pamięci nie było czegoś takiego, Orinko. Nie możemy odmówić tej, która sama do Kręgu przysła i obrzęd zgodnie z obyczajem odprawiła. Proszę wstawać, baby! Dawny obrzęd będziemy sprawować, rozplatać warkocz żony Wiecza. A ty, Orinko, popamiętasz jeszcze, *jakie* ręce do oczu ogniska podniosłaś.

Wielu z mężczyzn chciało warkocz paniński rozpleść. Młody Dogład niczym byk wszystkich odtrącił, nikomu nie dał dotknąć Poreki. Na niego więc włożyły baby wieniec Wiecza, podprowadziły do zmieszanej dziewczyny-matki i okrążyły korowodem. Śpiewały dźwięcznie i czysto, tak słodziutko, jak tylko baby z rodu Wiecza śpiewać umiały. Krążył korowód weselny, rozpuszczał Dogład gęsty paniński warkocz, który przepełnioną rzeką przelewał się na plecy.

Wiel nie zrozumiał, co się wydarzyło, kiedy w dźwięczny śpiew wdarł się krzyk, jak błysk noża, który rozpruł pieśń. Nie domyślił się, dlaczego Poreka próbowała się wyrwać z wesołego korowodu. Uświadomił sobie, jakie kwiaty były w weselnym wianku Boga Wiecza, kiedy na panińskim policzku siniak rozwinął się purpurową różą.

Mocno Netor trzymał chłopca - nie dał mu się wyrwać, wyprowadził z miejsca *wieczorynki*. Mocno Krąg trzymał Porekę - nie dał uciec. Roześmiany Dogład chwycił ją za włosy jak ptaka za skrzydło. Rzucił na ziemię. Coraz szybciej krążyły baby w weselnym tańcu, szerokie spódnice rozwiewały się, chustki płały pstrym wichrem - żywym namiotem, lecącą ścianą skrył Krąg sakrament obrzędu.

Tylko rozpaczliwego krzyku schować nie mógł. Takiego krzyku, od którego Wielowi serce w piersi wywracało się jak drzewo z korzeniami. Wtedy dotknęło go wołanie smoczego kwiatu i wszystko inne zamilkło - i pieśń, i krzyk, i oddech, i serce.

Długo milczał Krąg, a kiedy się rozstąpił, wypełził z niego pierworodny Netora. Na czworakach, zaśliniony, z bezrozumnymi oczyma. Na nogi już więcej nie stanął i rozumu nie odzyskał.

Orinka, kiedy uświadomiła sobie, co z synem zrobiła, stojąc w Kręgu - zawyla, włosy rwała z głowy, ale za późno. Sam przecież na Krąg pętlę zarzucił i sam w nią trafił. Nie według ludzkiej woli, ale według dawnego prawa Boga Wiecza gwałciciel został okaleczony. Nikt nie powinien zostać bez odwetu. Ani Dogład, ani Orinka. Poreka też otrzymała lekcję - za hardość i bezwstydną arogancję.

Mówiono: smoczy kwiat sam decyduje, komu się ukazać. Zawoła. Bez zawołania nie znajdzie się go,

można tylko zginąć na próżno.

Mówiono: nie każdy znalazca górskiego cudu potrafi otworzyć jego duszę, a jeśli nie otworzy – pozostanie obok, bez sił, by go wziąć lub zostawić, i będzie słuchać niekończącego się wołania, póki nie umrze, a może i dłużej.

Mówiono: nie każdy zawołany usłyszy. Tylko ten, kto w objęcia śmierci wejdzie jak w dom rodzinny, jak w żonę ukochaną całym sercem. Ogrzeje jej lodowaty oddech swoją duszą gorącą i ona go przyjmie jak nieśmiertelnego, przemówi, opowie, jak smoczy kwiat zerwać.

Może komuś się tak przytrafiło, skoro mówiono.

Chłopiec usłyszał co innego: jęk bezkresny, tysiącgłosowy, jakby gwiezdny. Jęk staczający się i padający w góry odwieczne. Nawet nie dźwięk – ból.

Nikt i nic nie pozostało na świecie oprócz tego bólu i Wiela. Pobiegł jak potrafił – kulejąc, opierając się na kijku. Nie widział nic, nie rozumiał dokąd. Wiedział tylko jedno: tam, gdzie chorowało i umierało serce świata.

Potknął się, upadł. Netor, płaczący nad losem syna, pomógł mu się podnieść. Chciał zatrzymać chłopczyń, bóg jeden wie, co robi półprzytomny. Jednak widząc jego oczy, odstąpił. Stary Bograd także ostrzegł.

- Nie zatrzymuj go, Netorze. Nie widzisz, że usłyszał Zawołanie?

- Przecież to kaleka, nie dojdzie do gór! Stanie się zdobyczą pierwszego lepszego wilka.

- Latem wilki nie napadają na ludzi. Jeśli został zawołany, dojdzie. A tam smoczy kwiat zdecyduje.

Netor sam kulaska w góry poniósł i ten się nie sprzeciwiał. Zwisał na rękach jak bezsilna ściereczka, głowę na ramieniu położył, drogę wskazywał, jakby miał kocie oczy. Szli całą noc i cały dzień. A potem Wiel nawet nie poprosił – rozkazał:

- Wystarczy, wujku Netorze. Dalej pójdę sam. Tobie nie wolno, obaj zaginiemy.

Może i chciał Netor przy pomocy chłopca podkraść się do smoczego kwiatu, może i myślał: Wiel znajdzie, Netor weźmie, ale nie sprzeciwił się. Westchnął, wyjął zza pazuchy klamrę.

- Proszę. Weź. Nie zdążyłem dać synowi, to może chociaż ciebie uchroni.

Długo patrzył, jak kaleka wdrapuje się po kamienistym zboczu. Szeptał:

- Wybacz nam, Wielu, jeśli potrafisz. Wybacz mojemu synowi. Pomóż mu, jeśli smoczy kwiat obdarzy cię szczęściem.

Góry piętrzyły się milcząco, niewzruszenie jak Krąg Wiecza.

Chłopiec, targany wiatrem, czepiał się występów i szczelin, przytulał się do kamiennej piersi, suchej i martwej jak starcze ciało. Dawno zgubił kijaszek, ale jego ręce zawsze były silne i teraz żyły niezależnie od ciała i rozumu, wlokły, podnosiły natrętny ciężar. Jak wysoko wpełźnie kulawy ślimak?

- pytały kamienia oblodzone palce. Ślimaki nie bywają kulawe - odpowiadały góry. Wobec tego nie jestem kulawy - krzyczał do nich chłopiec. Ale nikt mu nie uwierzył.

I daleko nie uszedł. Po pierwszym deszczu pośliznął się na występie. Okaleczona noga utknęła między głazami, chrzęstnęła jak suchy patyczek i palący ból zlał się z wołaniem smoczego kwiatu.

Czas kręcił się nad Wielem jak sęp: stróżował, kiedy ucichnie schwyte zwierzątko chłopięcego serca, wyczekiwał, żeby wydziobać wilgotne ziarna oczu.

Wiel stał się obcy sobie. Te krwawe łachmany pozdieranej skóry nie są na nim. Ten spuchnięty z pragnienia, niemieszczący się w ustach język nie jest w nim. Całe palące bólem ciało - nie jego. I życie, które przyśniło się w dolinie. I myśl o przyśnionym życiu.

A on, Wiel, od stworzenia świata był tu, zawsze leżał na kamiennej dłoni okaleczonym odłamkiem spadłym ze szczytu. I nie mógł iść dalej w góry. Tam, gdzie bolało. Tam, gdzie była jego osobowość, jego życie, jego myśli, jego ból. Wołał siebie z wyżyn nad obłokami i nie mógł się tam dostać. Wołał i słuchał szumu wiatru.

Smoczy kwiat przerasta twoje serce, chłopcze. Droga przechodzi przez ciebie, ale ty jej nie widzisz, stąpasz po otchłani, myśląc, że mocno stoisz na ziemi. Spadasz z dłoni swojej drogi. Przebiłeś świat kamienną duszą i myślisz, że ta jama, do której spadasz, jest światem. A to ty sam sobie stajesz się otchłanią.

Wołasz siebie z otchłani, ale gdzie jesteś ty - ten, który woła? Ty jesteś tożsamy z wołającym.

Jesteś jednością.

- Popatrz, żyje! - z zamroczenia wyrwał go ogłuszający głos.

Nad Wielem pochylił się zarośnięty mężczyzna w podniszczonej owczej czapce. Znajome oczy, złociste jak u tygrysa, iskrzyły się pod gęstymi brwiami. Jakby na chłopca spojrział ożywiający jaspis z uśmiechem zamkniętym w wieczności.

- Tato... - spróbował powiedzieć Wiel. - Znalazłem cię.

Prawdopodobnie udało mu się poruszyć napęczniałą, piaszczystą grudę, którą czuł w ustach zamiast języka. Ojciec odpowiedział:

- Tak, synku, zuch jesteś. Wstawaj, dość leżenia.

- Nie mogę. Kamieniem przygniotło i noga złamana.

- Boisz się bólu?

Ojciec zdjął z pasa bukłak z wodą, obmył twarz chłopca, ostrożnie go napoił. Pauzy między przełykami były długie jak zimowe noce.

- To po co tu przyszedłeś, synku, skoro boisz się bólu?

Wypychał słowa po ziarnku piasku. Czas przesypywał się piaszczystą górką, wiatr go zdmuchiwał, zabierając w dolinę.

- Smoczy kwiat zawołał.
- W jakim celu? - zmrużyły się tygrysie oczy.
- Do uzdrawiania kalekich.
- No cóż, uzdrowicielu... Zaczynaj, jeśli masz to, co jest silniejsze od śmierci.
- Życie!
- Głupi maluchu, życie oddają żywym.

Mama wyglądała jak płaczący w księżycowym promieniu korund. Jej uśmiech migotał słabą iskrą, a granatowe oczy wydawały się skamieniałą łzą. Karmiła Wielą polewką z ziaren i traw, poiła kozim mlekiem. Zawsze milczała.

- Dlaczego milczysz, mamusiu? - dopytywał się, tracąc siły z tęsknoty.

Ojciec odpowiedział:

- Nie słyszysz jej, synku. Nie przebaczyłeś.

Był przekonany, że nigdy jej nie obwiniał o to dawne nieszczęście. Innym nie mógł wybaczyć. Ojcu zadał szarpiące duszę pytanie:

- Dlaczego, tato? Dlaczego zostawiłeś w lesie przyjaciela na śmierć?

Długo milczał, zanim odpowiedział.

- Nie wszystko było tak jak myślisz, maluchu. Usłyszałem wołanie smoczego kwiatu i poszedłem tam, dokąd wołał. Świat stał się inny. Teraz wiesz o tym.

Wiedział. Porekę też zostawił. Przybraną matkę w ludzkim lesie porzucił. Kręgowi Wiecza, na rozszarpanie.

- Dlaczego Krąg tak z nami postąpił, skoro byłeś niewinny?
- Byłem winny, synku. Niedźwiedzica stanęła na drodze, a mój kolega między mną a zwierzę wkroczył. Powiedział: idź, przyjacielu, nie zwlekaj, cokolwiek by się wydarzyło.

Każdego dnia, ojciec stopniowo obluzowywał kamienne imadło ściskające nogę. Wydłubywał spod głązów skalną masę, by je przewrócić. A chłopiec po troszeczkę wyciągał się ze śmiertelnej niewoli. Przesuwając się o włos, nie pozwalał uśmierzyć się bólowi w zrastającej się kości. Żarłocznie chłonał wszystko, co ojciec wyjawiał mu o smoczym kwiecie.

Mówić człowiekowi o smoczym kwiecie to tak samo, jakby ślepcom opowiedzieć o koniach świtu i smokach zachodu. Słuchać o smoczym kwiecie to tak samo, jakby palcami widzieć gwiazdy i patrzeć na kwiat uszami.

Stałeś się słowem dźwięczącym w ciele, ale czy przy pomocy słowa zobaczysz lotos świata kwitnący w każdym z nas? Chcesz go otworzyć, płatek po płatku, i dotrzeć do prawdy. A kiedy obnażysz rdzeń i zdecydujesz, że znalazłeś istotę świata – pustka błysnie z oka kwiatu i zrozumiesz, że straciłeś wszystko, niczego nie pojmując. Słuchaj, jeśli chcesz.

Smoczy kwiat przerasta łono świata i staje się z nim jednością, wchłania go i odżywia. Jego soki jak krew przeciekają przez serce ziemi. Jest jak dłoń otwarta na wieczność. Wiąże pustkę i staje się drzewem z liśćmi gwiazd, z korzeniami – śpiewnymi strunami czasu.

Smoczy kwiat jest drogą. Niekończącą się, od jednego początku do kolejnego. Nie idziesz tą drogą, to ona cię niesie w dłoni i kiedy ją otwiera, pojawiaasz się na świecie. Kim chcesz zostać, tym i zostaniesz, chłopcze. Dokąd chcesz dojść, tam dojdiesz.

Jesteś jednością z tym, który już jest w miejscu, do którego chcesz przyjść.

Jesteś ten sam.

Śnieg padał zwartą zasłoną. Wiel uniósł się na łokciach, wyrwał się z lodowej skorupy, która natychmiast zabarwiła się krwią. Nie od razu zauważył, że kamienna pułapka rozczepiła kły na nodze. Nic go nie trzymało, ale iść nie mógł. Czołgał się, wlokąc na rękach nieczułe ciało, póki ktoś nie uchwycił go za ramiona.

- Nie tędy, synku. Tam zginiesz.

Próbował dostrzec ojca, ale ten skrył się już za lecącymi igłami śniegu. Popęłnął w tym kierunku.

- Patrzcie, doczołgał się! - uśmiechnął się ojciec, kiedy Wiel wpęłnął do jaskini.

- Znalazłem cię, tato - chłopiec nie mógł rozewrzeć sklejonych lodem warg. Ale ojciec usłyszał.

- Ani przez chwilę nie wątpiłem, synku. Prezent naczekał się tu na ciebie. Jeszcze w dolinie tworzyłem go z myślą o tobie i zabrałem ze sobą w kieszeni.

Wręczył kłamrę wykończoną kryształem górskim - dla oka bystrego, serca czystego, ducha jasnego. Identyczną jak zgubiony prezent Netora.

Matka podała synowi miskę z ciepłym wywarem i chłopiec długo roztopiał lód na wargach, zanim mógł się napić.

Słuchał pouczeń ojca. Nieskończenie długo uczył się wchłaniać i przeplatać w sobie nici niewidocznego słońca i ciepła ziemi, buzującego pod kamienną masą jaskini. Uczył się widzieć ból ziemi, nabrzmiewający pękami ciemności.

Zrywał ból jak kwiaty, nie pozwalając mu się rozwinąć

.

Obserwował świat i zdawało mu się, że złocisty ogień pluskający w oczach ojca i delikatne światło matczynego uśmiechu, poranne odbłaski na zaśniewionych szczytach Gór Wiecza i słoneczne promienie przebijające chmury miriadami strzał, wszystko to – ognisty sok, płynący po gałęziach smoczego drzewa. Uzdrawiający, tworzący, nieparzący ogień. Skrzydła wznoszące do gwiazd, świecące pieszczotliwie jak korund oczu matki, która przetrząsała jego włosy cichym wiatrem.

- Wybacz mi, mamó – szeptał, próbując uchwycić jej dłonie. I nie mógł. Tylko jej głos szeleścił ciszej od wiatru.

Ty jesteś ciałem i rozumem ziemi, moje dziecko.

Szukasz smoczego kwiatu, a on jest tobą. Patrzy na świat twoimi oczyma – innych nie ma. Leci nad światem twoją duszą – innej nie ma. Woła cię twoim sercem – innego nie ma. Bez niego my wszyscy – myśląca glina. Bez nas on – potęga bezcelowa, pustka ognista. Bez nas nigdy nie dotknie światów, nie wykiełkuje, nie wydepcze drogi. Jesteś okiem w sercu lotosu, łodygą smoczego kwiatu.

Ty jesteś smokiem łączącym światy i czasy, tworzącym drogę. Jesteś drzewem, które gałęziami złączyło liście gwiazd. Sam jesteś drogą, którą podążasz, drogą, którą przedzieras się przez niebyt. Jesteś jeden dla całego świata. Jesteś drogą przechowującą wszystko, co kiedykolwiek było: myśl ludzką i ślad zwierzęcia, cień obłoku i machnięcie skrzydeł, światło gwiazd i życie słońca.

Szukasz siebie w otchłani, ale gdzie ty sam jesteś – ten, który szukasz? Wszędzie, dokąd sięga promień drogi w niebycie. Ty sam jesteś tym promieniem, synku mój. Jedyny, od początku do kolejnego początku. Ty jesteś smoczym kwiatem.

Jesteś jedyny.

- Nie jestem jedyny, wy jesteście ze mną – szeptał ojcu i matce, słońcu i gwiazdom, górą i wiatrom.

- Jesteśmy z tobą, synku. Ty jesteś smokiem tworzącym drogę. Jesteśmy tą drogą, którą idziesz.

- Widzę, że otrzymałeś to, za czym poszedłeś w góry? – zielarka spojrzała na silne, zdrowe nogi młodzieńca.

Znów uśmiech mignął jaszczurką na gładkim kamieniu.

- Zdrowie dla mnie nie było najważniejsze! Sama wiesz, kogo szukałem.

- I znalazłeś?

- Tak. Rozmawiałem z nimi.

- Kłamiesz – stwierdziła z rezygnacją – twoi rodzice dawno nie żyją.

- Żyją! – Wiel zawsze był uparty.

- To znaczy, że ty jesteś martwy.

- Nie jestem – odpowiedział obojętnie, jakby go zupełnie nie interesowało zdanie żywych. – Znalazłem smoczy kwiat. To jest zupełnie nie to, o czym mówiono...

Zająknął się. Zrozumiał, że go nie słyszy. Oczy jej stały się puste, bezdenne, jakby spojrzały w otchłań czarnego słońca. Zielarka lekko kołysała się, ściskając skronie. „Nie! Nie stanę w Kręgu!” – „Nawet teraz, Poreko? Spójrz, znalazłyśmy ją...” – „Nigdy!”

Ona nie wytrzyma. Najokrutniejsze ataki – niedosłyszalne, niewidzialne. Człowiek zazwyczaj nawet nie wie, że mordują jego i jego ukochanych. Żyje jak żył, nie czując. Ale nie ten człowiek, który wrócił z Gór Wiecza. Wiel dotknął czoła zmęczonej kobiety. Tam, gdzie zionęła czarna gwiazda. Zgasił ranę. Zielarka szepnęła ciszej od szelestu liści:

- Dlaczego mi zełgałeś?

- Czyżby? Pytano o dziewczynkę z rodu Wiecza. Takiej nie spotkałem.

- A kogo?

Uśmiechnął się pogodnie, miękko.

- Cudo. Tę, która szukała smoczego kwiatu! Nie chciała sławy, bogactwa ani władzy. Tu, w dolinie, tacy się nie rodzą.

- Czekał na nią ocean, a ona udała się za kroplą! O cóż takiego chciała prosić?

- Sama zdradzi.

- Już nie zdradzi. Nie żyje córka Doglada.

Doglada? Przecież on niedołączny jak niemowlę – chciał powiedzieć, ale świat odpłynął razem z powietrzem i stracił oddech jak ryba wyrzucona na brzeg.

...Wezbraną rzeką rozpuszczał Doglad panieński warkocz. Krążył babski korowód, wzdymał pstre fale, śnieżnobiały ptak zatrzepotał na ich grzebieniu i utonął. Wyszła na brzeg żona boga: purpurowe róże płonęły na białym ciele, krwawe lilie rozwijały się pod jej nogami – kwiaty z weselnego wianka Boga Wiecza...

- Lipka, córka Kręgu. Odebrali mi ją zaraz po urodzeniu. – Słowa kobiety posypały się szmerem opadającego listowia. – Ona nawet nie wiedziała, że jestem jej rodzoną matką. Teraz już nigdy się nie dowie.

Dotknął drżących rąk jak zwykle ledwie uchwytnym ruchem. Lekkie dotknięcie – i zbladły drapieżne róże, chwytające pazurami za duszę. Pocałowałby jej cienkie palce, wydobył lodowaty ból ze stężałego serca, ale nie odważył się.

- Nie zabiłem jej, Poreko. Ale jeśli wierzysz, że jestem winny, dlaczego nie staniesz w Kręgu? Nie zemścisz się? Dla waszych bab jestem za mocny, ale ty dałabyś radę. Pozwoliłbym ci i przyjąłbym śmierć z twoich rąk. Oni o tym wiedzą.

- Ponieważ jesteś moim synem.

Dla swojej matki on też był synem.

- Nie, matulu. Dlatego, że twoja nienawiść do nich jest większa od ukradzionej przez nich miłości.

Milczała, opuściwszy głowę. Wziął jej omdlałą rękę, wargami dotknął koniuszków palców. Podniosła oczy, suche i zwiedle, jak jesienne listowie.

- Osądzisz mnie, ale ... Cieszyłam się, kiedy Lipka uciekła. Lepszy już taki los niż ten, który jej nakreślono. A teraz cieszę się, że Krąg jej nie zobaczy żywej. Drugiej takiej samej jeszcze długo nie zdołają wychować.

- Czyż mogę osądzać cię za twój ból? Taka ciemna radość musi mieć czarną przyczynę.

Krąg zarzucił pętlę na jej gardło, dusił, nie pozwalał opowiedzieć. Nie mogą obcy wiedzieć, że wieńcowi Boga Wiecza od dawna już ciasno w dolinie i postanowił zapuścić korzenie we wszystkich ziemiach, stać się jednym, ogólnym ogrodem. Kobiety zdecydowały: czas zrobić porządku w całym domu Wiecza, strzepnąć kurz, odskrobać brud i umyć do czysta. Nikt się nie może dowiedzieć, że potrzebny tylko powód i Krąg go wymyśli, żeby wypłynąć z doliny i rozlać się po ziemi ogromnym znamieniem, przesączając się wszędzie jak zatruta woda. A jeśli ktoś spróbuje zatrzymać kobiety Wiecza, oni za oko wezmą wszystkie oczy i uczynią swoimi. Za kroplę krwi - całą krew. Nie przeleją - wchłoną, rozpuszczą w sobie.

Zielarka chwyciła się za gardło, wychrypiała:

- Lipka miała stać się centrum nowego Kręgu.

Zdziwił się.

- Zawsze myślałem, że umiłowany Bóg Wiecz jest centrum tego wielkiego haremu.

- Przygotowywali moją dziewczynkę do szczególnego poświęcania. Najkrwawszego ze wszystkich.

Nawet gdyby Krąg nie zaciskał pętli na gardle, nie potrafiłaby tego opowiedzieć.

Swoich córek pożałowały. Prawo także zabraniało odbierać dziecko urodzone w uświęconym małżeństwie, a córka z takiego obrzędu, kiedy Krąg łączy się z bogiem przez ofiarę, jest córką całego Kręgu. Taka dziewczynka od dawno była im potrzebna i oni pomogli jej się urodzić. Nieszczęsny Dogład... Popychali go, rozpalali i wypuścili z cięciwy palącą się strzałą. Był narzędziem, które złamały i wyrzuciły: nie każdy wytrzyma dotknięcie boga. Z Lipką byłoby jeszcze gorzej.

Poreka dusiła się. Wiel leciutko dotknął jej czarnego warkocza, i osypały się z szyi duszące węże niczym popiół. Zielarka westchnęła.

- Zrobiłyby z niej... parodię mężczyzny. Kobietę z okaleczoną, nienaturalną duszą, opętaną przez Wiecza, zarządzającą losami. Wyznaczyły jej władzę nad Niszczącym Kręgiem.

- A ona poszła po smoczy kwiat. To dlatego usłyszała jego zawołanie, jedyna ze wszystkich.

Jej małe serce płonęło mocniej od ziemskiego wnętrza i Wiel to wyczuł. Wyszedł z głębi jaskini i pośpieszył na ratunek dziewczynce, która przyszła w poszukiwaniu smoczego kwiatu i wisiała nad przepaścią. Dla niej straszniejsze od śmierci było zignorowanie wołania i niezrealizowanie tego, po co przyszła.

Złapał ją, lecącą już do rozwartej paszczy niebytu. Rzucił sznur spleciony z mocy ziemskich korzeni. Święty *smoczy* sznur, tworzący drogę.

- Skąd się tu zjawiłaś, małe cudenko? - zapytał.

- Z daleka - szurnęła dziewczyna zakrwawionym nosem.

- Łiesz. A góry kłamstwa nie przebaczą. Po co ci *smoczy* kwiat?

Błysnęła gniewnie oczętami. Zbyt ciekaw jest ten górski duch. Patrzy surowo i łgarstwa nie wybaczy. Wyjawiała, za co gotowa jest oddać gwiazdę swego serca:

- Chcę rozpleść wianek Boga Wiecza!

- Zupełnie? - oniemiał Wiel.

- Zupełnie. Jest tak stary, że sypią się z niego same paprochy. Światła nie widać. I mamy z tatą także. Krąg odsunął ich ode mnie.

Wiel zamyślił się. Czy ona rozumie, czego chce? Jak by nie było, on sam został smokiem, żeby uzdrawiać kalekich. Droga przyprowadziła go do kolejnego początku.

- Cóż... Spełnię twoje życzenie.

- Pomożesz znaleźć *smoczy* kwiat?

- Już go znalazłaś.

- Gdzie? - rozejrzała się po pustynnym zboczu. - Nie widzę.

Roześmiał się:

- Twój rozkwitnie w dolinie, malutka. Powinnaś wrócić.

Westchnęła rozczarowana, skubiąc rozpleciony warkoczyk.

- Nie mogę! Od razu dowiedzą się, po co chodziłam w góry, i zabiją. A jeśli Lipień wrócił do osady, już o tym wiedzą.

- Zabiją? Nie bój się - pocieszył, zasmucony. - Przyjdę do doliny. Pomogę ci.

Cicha ulica wybuchła donośnym krzykiem:

- Znaleźli! Niosą!

Wiel przylgnął do okienka: między kobietami, rozglądając się niespokojnie, przecisnął się krępy brodac z długim zwojem w rękach. Wszedł na podwórze. Tuż za nim przemknął na czworakach Dogład.

Brodacz rozwinął zwój.

Dziewczynka upadła obok martwego psa, dotknęła kosmatego boku cienką rączyną, jakby go głaskała. Otwarte oczy wpatrywały się w ślepe niebo. Spod czapeczki, która zsunęła się pod wpływem wstrząsu, wysliznął się jasny warkoczyk i zwinął się wężykiem na trawie.

Dogład podpełznął, usiadł obok, poprawił na jej głowie czapeczkę, bełkocząc coś niezrozumiale. Brodacz nie dał rady wyciągnąć go za ogrodzenie. Masywny, zapierający się szaleniec uchwycił się łańcucha, ciągnąc za sobą psa. Mężczyzna machnął ręką i szybko opuścił podwórze.

Krąg zwarł się. „Zwracamy ci ją, Poreko. Teraz jest twoja, tak jak chciałaś”.

Zielarka krzyknęła i padła jak nieżywa. Wiel ledwie zdążył ją podchwycić.

- Nie zabijałem jej, Poreko!

Padała w czarne słońce. Roztopiała się iskrą w ryczącym płomieniu ciemności.

Jednak te wściekle wiedźmy osiągnęły cel. Zwrócą w całości to, co zostało wzięte gwałtem?

Wiel musiał się pośpieszyć. Chociaż ci znajdujący się za ogrodzeniem są na granicy wytrzymałości; tak długo jeszcze nikt nie sprzeciwił się Kręgowi. Ale jeśli Poreka się ocknie, obdarzona jedyną, ślepą duszą Kręgu, z okrutnymi oczyma świecącymi jak próchno, z nadludzką potęgą zgromadzoną od wszystkich, nie będzie mógł jej zabić, aby potem uratować. Przecież obiecał.

Zgarnął i wyrzucił z domu wszystko, co mogło przeszkadzać – ławkę, stół, toboły z sierścią, wywołując zdziwienie zebranego tłumu. Kobiety, oczywiście, nie zauważyły tego, chociaż spazmatyczna fala zachwiała ich niemą ścianę. Oślupiały Netor, sterczący niedaleko, otrząsnął się z odrętwienia i skinął głową, jakby na powitanie po długiej nieobecności. W tym momencie ławka w rękach młodzieńca nastroszyła się dziesiątkiem strzał. Wreszcie, zdecydowanie i po męsku uśmiechnął się Wiel. Trzeba było tak wcześniej. Tylko żeby się nie zdecydowali na podpalenie.

Prześliznął się spojrzeniem po grudce martwego ciała na podwórzu, po mamroczącym nad nią Dogładem. „Wytrzymajcie, pomogę!” Kaleki podniósł roztrzęsioną głowę... jakby usłyszał. Łzy płynęły z bezmyślnych, mętnych oczu.

Wiel uchylił się przed włóczęgą. Druga rozłupała już zamknięte drzwi, wysuwając bezsilne żądło.

Rozesłał skóry na glinianej polepie, tworząc coś w rodzaju łoża. Przeniósł zemdloną zielarkę, dziwiąc się jej kruchości. Odniósł wrażenie, że już nie oddycha.

Rozebrał się do naga, zostawiając tylko sznur na lędźwiach. Węgielkiem z ogniska opisał łożę szerokim kręgiem. Rzucił ziarna, rozłożył zioła, jakie zdołał znaleźć w pośpiechu, nie zapomniał o czaszy z czystą wodą. Położył dwie związane strzały i obok jeszcze jedną. „Dla ciebie, Dogładzie! Twój ojciec wstawił się za tobą”. Tracił niepotrzebnie drogocenny czas – idącemu drogą smoka zbędna jest naiwna oprawa magii, jak dla właściwości noża niepotrzebna rzeźba na rękojeści. Ale za to potem będzie piękniej, a to znaczy trafniej.

Przez okienko, przebijając błonę pęcherza, wleciała strzała z palącymi się pakułami. Wbiła się w ścianę za węgielnym kręgiem. Domyślili się wreszcie, tępacy, podpalili. I spóźnili się. Dym owinął się wzdłuż linii czarnym wężem dusicielem. Na pomoc popełzył mu z kątów, spod dachu, szybkie wężyki. Już nie ugryzą, nie zaduszą. Nie dosięgną Wiele, otwierającego dłoń smoczego kwiatu, wyciągniętą w kierunku wieczności. Złocisty promień drogi zadrgał przed nim śpiewającą struną.

Położył się obok nieoddychającej zielarki.

Dłoń drogi skurczyła się jak serce, obejmując ich. Zdobyła i wyrwała ze świata. Schwytany niczym w garść czas zatrzepotał jak zwierzątko we wnyku, zaciągając coraz mocniej węzeł. Rozpaczliwie spróbował się wyrwać, i zmarł.

Rozbierał ją ostrożnie, bez pośpiechu, jakby zapomniał o całym świecie. I tego świata nie było już tu, na dłoni drogi smoka.

Dotykał jej z podziwem, czule, delikatnie, jak dotyka świata dłoń drogi smoka.

Spalał się w nieukojonym ogniu swojej kipiącej krwi. Bał się, że nie wytrzyma, przekroczy zakaz i nie uratuje. Biorąc ją jak męczyzna kobietę, potknie się i spadnie z lecącego promienia drogi smoka – do świata.

Nieskończenie cierpliwie budził jej martwe ciało, żeby duch miał dokąd wrócić. Umierał od słodkiego przerażenia, od ogromnego jak cały świat Szczęścia! Zdjął sznur z lędźwi i ostrożnie uniósłszy jej kruche ciało, poczerwieniały niczym oświetlone zorzą letnie niebo, obwiązał siebie i ją, tworząc jedność. Ciało obok ciała, ale ze wspólną duszą.

Odnajdywał ją i tracił, znajdując. Przywierał do niej i w nią, wydychał swoje serce, które go spalało jak słońce. Wydychał słońce, które było większe od nieba – w niedoścignioną, ukochaną, w porzucającą go na zawsze kobietę.

Drogą smoka idzie się samotnie. Żeby przejść ją we dwoje, trzeba stać się jednością.

Obejrzała się, upadła niczym kamień, lunęła falą i on przyjął tę falę w siebie, stał się nią. Każdy był i sobą, i drugim. Zlali się w jedno. Wzbili się ponad światem – do niebios. Wchłonęli wszystkie morza, rzeki, strumienie i ulewy, i jeszcze jedno dźwięczne źródółko płynące jasnym warkoczykiem. I otworzyli się. Nie mieli ciał i nie mogli już zatrzymać się w skoku nad otchłanią. Lecieli. Śpiewającymi strzałami. Dzwoniącym wiatrem. Jedną wszechogarniającą, bezcielesną falą, pluskającą w czaszy wszechświata. Duszą przy duszy – jedną duszą.

Stali się jednością.

Jeden oddech. Jedna prawda. Jedno światło. Jeden świat. Jedna chwila.

Czas zgasnął. Zjawiała się Wieczność.

Wpadli w nią ziarnami. Rozkwitli gwiazdami. Osypywali się iskrami. Ognistymi błyskawicami – na ziemię.

Netor obserwował, jak palące się włócznie i strzały dziobały ściany i dach domu Poreki, syczały bezsilnie i gasły, jakby ten stał na dnie morskim.

Wreszcie chałupa zajęła się nieśmiało, niechętnie mocno zadymiała i nagle płomienie buchnęły aż pod

niebiosa, rzucając ogniste wichry do samego ogrodzenia, aż Netorowi brodę osmoliły. Kobietom włosy i spódnice zapłonęły niczym świece.

Baby tego też nie poczuły! Stały, utkwivszy nieruchome oczy bez rzęs w ryczącym płomieniu. Netor rzucił się do żony, by ją wyrwać z Kręgu, odciągnąć, ugasić ogień. Dotknął ramion – i Krąg rozpadł się głowniami.

Orinka była martwa jak wszystkie pozostałe. Żony i matki. Siostry i narzeczone. Wszystkie.

Słońce dawno zaszło.

Dawno ostygło pogorzelisko.

Dawno mężczyźni wydali pogrzebowemu stosowi zwłoki żon i matek, sióstr i córek. I to ognisko także dawno zgasło i zasypane zostało kurhanem. Dopaliły się puste domy, oddane ogniewi, żeby nie dostały się wiatrowi.

Spalenizna wisiała nad doliną smrodliwą chmurą, z której padał suchy deszcz – popiół.

Nikt nie wiedział, czy przez ten długi czas, wschodziło słońce.

Mężczyźni i chłopcy odchodzili na zachód, byle dalej od doliny i Gór Wiecza.

Kręgu już nie było. Runęły jego filary i prawa, jak dom Poreki. Rozsypywały się razem z popiołem rodzinnych domów. Na zawsze rozpleciono wianek Boga Wiecza. Teraz ludzie będą żyć, nie wyczuwając prawdy. Nie będą mogli zatrzymać rozbójnika ani skazać gwałciciela czy też znaleźć złodzieja. Bezkarci się ośmielą, rozbewiają. Ludzie znów staną się podobni do zwierząt.

Mówiono: odtąd tak będzie, aż do końca świata.

Dokoła przeklętego pogorzeliska na wieki zastygły ustawione kamienne bryły.

Wiecznie będą leżeć pod palącymi się od przekleństw węglami kości Nieżywego i jego Przybranej Matki – związane świętym sznurem, połączone bluźnierczym uściskiem, stopione pożarem w jedną nierozłączną grudę.

Po wieczne czasy nie wypuszczą Poreki i Wiela z karzącego kręgu. Wiecznie ich będą strzec i torturować milczące, kamienne baby: żony i matki, siostry i narzeczone, wszystkie co do jednej, wszystkie jako jedność. Skamieniały obłęd. Krąg Wiecza.

Mówiono: stać będzie zawsze, na wieki.

Burza szalała między niebem i ziemią. Raziła błyskawicami wzburzone fale mórz, podnosząc je do chmur, huraganem zrywała lądy – łączyła je z niebem i nie mogła utrzymać. Rwały się tkaniny bytu i

rozpełzały łachmanami. A kiedy burza zmęczyła się i przestała odnawiać świat, z ostatnim grzmiotem drgnął nabrzmiały pąk smoczego kwiatu, otworzył się i upuścił na piaszczysty brzeg morza cztery płatki. Nazywały się Wiel i Poreka, Dogład i Lipka.

Daleko od górskiej doliny uniosła ich droga smoka. Troje postanowiło wrócić do domu, którego nie ma i nie będzie.

Wiel siedział, zanurzwszy stopy w morzu. Mewy snuły się nad falami, haftując znikający natychmiast deseń. Pożegnalne słowa pobrzękiwały w sercu jak garść matowych monet. „Doprowadzę was” – powiedział. „Dziękujemy, *smoku* Wiel, za podarowane życia, za uzdrowione dusze. Dojdziemy sami. Swoją drogą. Ciężką, ludzką.”. Ukłonili się i poszli pustym brzegiem. Dziewczynka z jasnym jak strumyk warkoczykiem wczepiła się w dłonie ojca i matki; jak cienka pajęczynka górskiego mostu przerzuconego nad otchłanią.

Idący nie wiedzieli, że gdzie by się udali, przejdą zawsze po sercu Wiela. Smoczy kwiat kiełkuje wszędzie.

Słowa paliły rozżarzoną miedzią. Rzucił je w ciche fale razem z pustą muszelką poniewierającą się na piasku. Muszelka wpadła, przyjmując w siebie morze. Stała się dnem otchłani z głębinowymi, ślepyimi rybami słów: „My sami... Swoją drogą...”

Samotne słońce bezdźwięcznie pluskało w niebie. Żłocistym jak oczy Poreki.

Drogą smoka, podąża się samotnie.

Nawet jeśli cały świat niesiesz w sobie, jesteś sam.

Natalia Mietielewa

Tłumaczenie: Tadeusz Rubnikowicz